

# Najszczęśliwszy diabeł i najprzewrotniejszy anioł

– czyli Janda reżyseruje w Powszechnym.

**T**AK napisałabym, gdybym miała za zadanie wymyślić hasło reklamowe dla najnowszej warszawskiej premiery w owym wrześniu 1993 r., kiedy to trwa telewizyjny festiwal haseł reklamowych różnych. Gdybym zamierzała zachęcić do pójścia do urn (przepraszam do teatru) polskiego inteligenta, dodałabym szybko, że hołubię w sobie niejakie podejrzenie, iż konsultantem specjalistycznym musiał być niewątpliwie ks. prof. Józef Tischner (abstrahując od jego znawstwa problemów góralszczyzny). Gdyby hasło miało dotrzeć do nastolatków, napisałabym: *Kochani! Musical! Wprowadźcie bez laserów, ale z takim samym CZADEM!* Gdybym miała przekonać tych, którzy uznają tylko komedye, ogłosiłabym, że zobaczą najzabawniejszą w świecie parę anielsko-diabelską.

A gdybym zamierzała włączyć się w reklamowy telewizyjny festiwal? Oto dla partii ludowych: *Lud tańczy, śpiewa, i to jak!* Dla narodowców: *Diabeł polski, anioł polski i Janosik polski też!* Dla Unii Demokratycznej: *Tu żadnej grubej kreski nie potrzeba!* Dla liberalistów: *Stalińską i Jandę pokazać w Brukseli! A w dodatku ostro na nich zarobić!* Dla lepperowców: *Oddłużyć chłopów, żeby każdy miał na Kryskę i Dorotę, no i oczywiście na tego zabijakę Janosika.* A dla ZChN-u? **TAKIEGO anioła i TAKIEGO diabła musi zobaczyć każdy Polak-katolik!**

To ostatnie jest, na szczęście, możliwe, bo dzięki mądrej polityce (przepraszam, mądrymu biznesplanowi) szefa redakcji teatralnej Jerzemu Koenigowi spektakl będzie zarejestrowany przez Telewizję Polską. Ale uprzedzam: nie zobaczycie go państwem szybko, bo wróżę mu długą karierę sceniczną.

Więc na razie, biegnijcie na komedię muzyczną produkcji polskiej, dla której żadna broadwayowska krytyka nie może być groźna. Uraduje się wasze serce, uraduje się wasza dusza, a ponadto jeszcze oczy i uszy. Brawa będą gorące, bisom nie będzie końca, nikomu nie będzie się chciało wyjść

z sali, pełnej poetyckiej harmonii dźwięku, barwy, ruchu.

**Udało się Krystynie Jandzie zrobić spektakl o takiej urodzie, że aż dziw bierze – w tych naszych czasach pełnych dysonansów i dysharmonii.**

Jest on odbiciem jej stylu aktorskiego. Oglądając salę w trakcie spektaklu, zauważyłam na twarzach widzów taki rodzaj przyjaznego uśmiechu, jaki chciałoby się widzieć na ludzkich



Piękny spektakl, porywający i nowoczesny.

Fot. RENATA PAJCHEL

twarzach zawsze. Ze sceny płynął ten, tak trudny do nazwania, fluid, który stanowi o istocie dobrego teatru; nabiera on cech szczególnych, kiedy gra Janda. Jest to coś na kształt serdeczności, którą emanuje aktorka – wobec twórczonej przez siebie postaci, a zarazem widzowie – wobec owej postaci, a także wobec samej wykonawczyni. Ów fluid tym razem wytworzył cały zespół, z *Diabłem* włącznie. Z *Diabłem*, który zagarniał spódnicę w spodnie (jak wiele lat temu, w monodramie) i przebiegał scenę diabelskimi kroczkami, z głosikiem diabelskim, diabelską poządlivością

tak wobec duszyczek jak i cielesnych panienek, z diabelskimi... zębami wreszcie! No i, oczywiście, z Anioła, chudzinki z jedną nóżką złotą, ale za to z drugą przetrąconą co to argumentów używa o przemysłowości niespotykanej, stąd podejrzenie o współpracę z wybitnym specjalistą.

Oglądałam spektakl pierwszy po wakacyjnej przerwie. Z obawą zawodowca, który wie, czym taka przerwa grozi. Aliści! Grali tak, jak gdyby nie przestawali grać, współgrać ze sobą ani przez moment. Dech zapierało – przy hołubcach, czy ciupaga się nie

której drzy podłoga sceny, trzech zandarmów – każdy groźny, ale każdy inaczej. Kapela „Krywań” góralska, nie tylko grająca, ale też nogami i ciupagami pokazująca swe umiejętności. Oraz dwoje Opowiadaczy, sprawnie przeprowadzających nas przez przedstawienie.

Natomiast Janda i Stalińska stworzyły dokładnie to, co w języku klasycznej recenzji należałoby nazwać znakomitym duetem aktorskim, popisowymi rolami itd., itp.

**Tak więc: harmonia, prostota, szczerość, swoboda, perfekcja wykonania.**

A przecież jest w tym spektaklu pomysł, jakiego wcale nie musi zawierać prosta ludowa ballada. Od samego początku, w tym gwarze, tańcach, śpiewach, przekrzykiwaniach, przepychankach i zawieruchach siedzi przy stole, tyłem do nas, niebieskołńska postać, która coś tam sobie tka... Gdy w końcu spektaklu odwraca się, doznajemy tego czegoś, co już nazwali starożytni i po co w ogóle istnieje teatr. Może nie bardzo wypada używać tego słowa przy tak skromnej, bezpretensjonalnej zabawie na kanwie ludowej opowieści... Posłusznie się więc fragmentem „Dzienników” Anny Iwaszkiewicz, tak świetnie od bierającej teatr: *katharsis(...)* **właśnie przeżycie w sztuce czegoś tak istotnego, że niejako zamartoby w nas to wstytko, co nieistotne.**

Piękny spektakl o ludzkiej wolności, o ludzkiej samotności, o tęsknocie do miłości. Porywający i nowoczesny. Szczercze zgodny z duchem utworu Ernesta Brylla i – na szczęście – przewrotnie niezgodny z jego ideologią zawartą w programie.

**ELŻBIETA KISIELEWSKA**

Teatr Powszechny w Warszawie. Katarzyna Gärtner, Ernest Bryll, NA SZKLE MALOWANE. Reż. Krystyna Janda, scen. Maciej Freyer, chor. Michał Jarczyk, oprac. muz. Franciszek Seman, oprac. wok. Romana Krebsówna, światło Edward Klosiński, premiera w lipcu 1993 r.